

Chęć zabicia nas wszystkich to obłąd, a nie religia

Sudesh Amman był wyjątkowo nieskuteczny w swoim zamiarze zabicia wszystkich niewiernych, dzięki czemu miał być po śmierci otoczony pięknymi słuźebnicami, które zrobią dla niego wszystko.

Być może niedokładnie przeczytał podręcznik o tym, jak atakować ludzi nożem. Dwie poszkodowane przez niego osoby na Streatham High Road w południowym Londynie na szczęście przeżyły.

Amman został zastrzelony przez policjantów zanim zdążył zakrzyknąć „Allahu Akbar”. Ubrani w cywilne stroje policjanci czekali już na miejscu zdarzenia, ponieważ zamachowiec był im wcześniej znany. Domyślam się, że zgodnie z brytyjskim prawem musieli poczekać, aż będzie próbował kogoś zasztyletować, zanim mogli go zastrzelić.

To prawdopodobnie pierwsze prawo, któremu przyjrzałbym się w kontekście dżihadystów. Wolałbym, żebyśmy radzili sobie z nimi zaraz po tym, jak wyjdą ze swoich domów. Zaoszczędziłoby to sporo czasu. Zastanawiam się, ilu policjantów śledziło Ammana. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że muszą oni obserwować jeszcze trzystu innych znanych im dżihadystów, możemy policzyć, jakie koszty ponosi z tego tytułu przeciętny podatnik.

Amman był dobrze znany słuźbom bezpieczeństwa, ponieważ dopiero co wyszedł z więzienia, gdzie przebywał skazany za działalność terrorystyczną. Został przedwcześnie, automatycznie zwolniony – i właśnie ten fakt wzbudził największe oburzenie.

Rząd rozważa teraz zablokowanie możliwości automatycznego zwalniania więźniów skazanych za działalność terrorystyczną po odsiedzeniu połowy wyroku, tym bardziej, że niektórzy z nich

mieliby wyjść na wolność jeszcze w tym roku. Nie wydaje mi się, żebyśmy dobrze na tym wyszli, jeśli pozwolimy, żeby za kolejnych czternaście miesięcy osobnicy podobni Ammanowi rozpoczęli kolejne występy z nożami. Chyba nie o to chodzi.

O nożowniku dowiadujemy się ostatnio coraz więcej. Wychodzi na to, że namawiał swoją dziewczynę do odcięcia głowy jego ojcu i macosze. Cóż, wszyscy wiemy, że różnie bywa. W więzieniu mówił o tym, że chce zabić „plugawych kafirów” i zamordować jednego z parlamentarzystów. Tymczasem jego mama, niejaka Haleema Faraz Khan, określiła swego syna mianem „miłego, uprzejmego chłopca”, który zradyzalizował się dopiero w więzieniu w Belmarsh. Biorąc pod uwagę, że trafił tam za posiadanie materiałów ISIS i wspomnianego podręcznika dla nożowników, mogła się nieco mylić, chyba że jej syn przed rzuceniem się na ofiary z nożem rzeczywiście życzył im „miłego dnia”.

Amman to najnowszy przypadek terrorysty, który przeszedł przez spektakularnie nieskuteczny program deradykalizacji, a następnie wyszedł z więzienia, żeby zabijać kafirów, a przynajmniej próbować. Ushman Khan, który w listopadzie zabił dwie osoby w pobliżu Mostu Londyńskiego, cieszy się prawdopodobnie najgorszą sławą. Dżihadysta brał udział w konferencji poświęconej deradykalizacji i to właśnie w trakcie jej trwania postanowił zrobić sobie przerwę i zabić kilku niewiernych.

Czy naprawdę nie widać, że te programy nie należą do wyjątkowo skutecznych? Skuteczne nie są ani te „twarde”, ani „miękkie”, przy czym te ostatnie polegają na zachęcaniu uczestników do rozwijania pokojowych zainteresowań, takich jak gra w ping ponga lub koszykówkę.

Nie ma wątpliwości, że wielu ze skazanych radykalizuje się w miejscach takich jak Belmarsh. Nie pomaga jednak to, że liczni imamowie, którym pozwalamy nauczać tych maniaków, to wyznawcy sekty Deobandi, zdecydowanie przeciwstawiającej się integracji.

Jesteśmy też, jak zawsze, nieco sparaliżowani naszym liberalizmem. Ian Acheson, który prowadził niezależną inspekcję islamskiego ekstremizmu w naszych więzieniach, sprzeciwia się działaniu komisji oceniających potencjalne zagrożenie ze strony więźniów i decydujących o ich wcześniejszym zwolnieniu. Jego zdaniem „wrażliwość na uwarunkowania kulturowe w kontaktach z muzułmańskimi osadzonymi wykracza poza podstawowe wymaganie dotyczące uwzględnienia kwestii wiary i może hamować skuteczną konfrontację z ekstremistycznymi poglądami”.

Zapewne można się zgodzić, że tak właśnie jest. Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. Za każdym razem, gdy dochodzi do podobnego ataku, upieramy się, że „nie ma on nic wspólnego z islamem”. W tym podejściu jesteśmy jednak mało spójni, ponieważ w późniejszym etapie zawsze jednak przyjmujemy, że ludzie ci są wrogimi napastnikami ze względu na swoją wiarę. Wysyłamy do nich imamów, zamykamy ich z innymi muzułmanami i zapisujemy ich na programy deradykalizacji, gdzie starszyzna muzułmańskiej społeczności odnosi się do ich brutalnego zachowania.

Po co to wszystko? Jeśli na serio uważamy, że ataki te nie mają nic wspólnego z islamem, bądźmy konsekwentni w wydawanych wyrokach. Jeśli ktoś chce zamordować tylu ludzi, ile tylko się da, tylko dlatego, że ci nie wierzą w to samo co sprawca, a ten jest przekonany, że za swój czyn otrzyma niekończący się orszak służebnic, to jest ewidentnie obłąkany i powinien zostać na stałe zamknięty w szpitalu psychiatrycznym z powodu swojego szaleństwa. Tak postąpilibyśmy z każdym, kto przejawia narcystyczne urojenia – o ile nie uszlachetniałby ich poprzez powołanie się na wersety Koranu. Mamy do czynienia nie tyle z przestępcami, co z psychopatami i tak należy ich traktować.

Chęć zamordowania nas wszystkich jest przekonaniem zakorzenionym w szaleństwie, a ponieważ zdecydowaliśmy, że skazani podobni Ammanowi są obłąkani, możemy przetrzymywać ich w nieskończoność i nie dopuszczać do sytuacji, w której ubrani

po cywilnemu policjanci będą podążać za nimi po całym kraju, czekając, aż kogoś zasztyletują.

Trudno byłoby się komukolwiek sprzeciwić takiemu rozwiązaniu, szczególnie widząc, że w schludny sposób usuwa ono z równania islam, a tym samym również szerszą i niewinną społeczność muzułmanów.

Rod Liddle

Autor jest redaktorem i felietonistą „The Spectator”, pracował w BBC i Channel4.

Tłum. Bohun, na podst. <https://spectator.us>

Opinie autorów publikowanych tekstów nie muszą być zgodne z poglądami redakcji Euroislamu